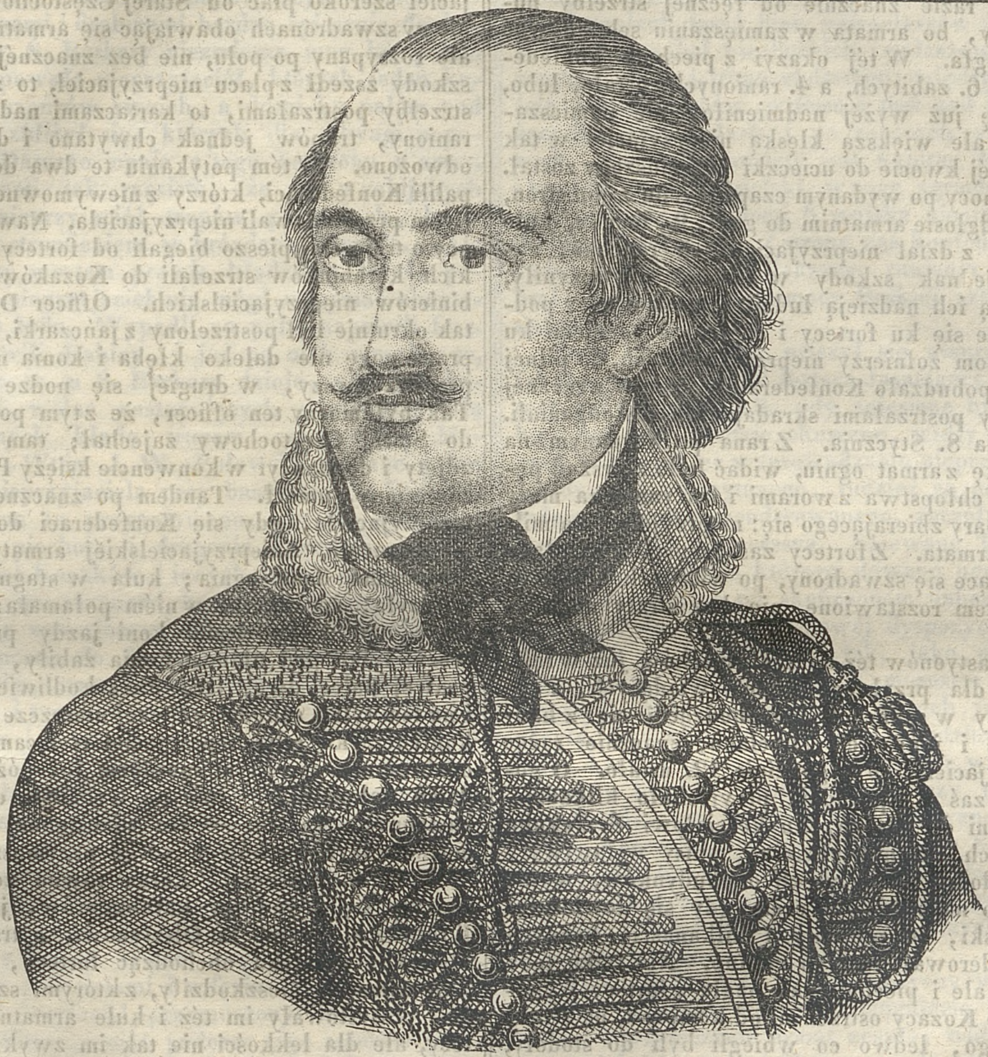
Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. No. 38. Leszno, dnia 20. Marca 1841.



Kaźimierz Puławski.

Dyaryusz oblężenia Częstochowy w roku 1770.

(Ciąg dalszy.)

Dnia 7. Stycznia. Dzień z rana przepędzony bez attaku. O godzinie 9., gdy jazda nieprzyjacielska w kilkadziesiąt koni po domach około Ś. Rocha rozgrzaniem się bawiła, dobre strzelanie armatne od fortecy odległych nie raziło. Wtém porucznik od infanteryi łomżyńskiej, za ordynansem Puławskiego wysłany, kominami, na pogorzelisku stojącemi, ku kościołowi Ś. Rocha przeszedłszy, żołnierzy i koni kozackich znacznie ranił i kilkunastu Kozaków z końmi komenderowanymi zabił. A gdy piechota nieprzyjacielska od Ś. Rocha wyszedłszy, sukursować swoich chciała, on piechotę aż na cmentarz zapędził, i domy stojące zapalić kazał. Wtém dwa szwadrony karabinierów i mnóstwo Kozaków, z pod Ś. Barbary przypadłszy, od fortecy oderwać go chcieli; a ten od Ś. Rocha pośilony sukursem, nieprzyjaciela brać i natarczywie

następować zaczął. Pomieniony porucznik na dwie części rozdzieliwszy swoją infanteryą, z obydwóch stron nieprzyjacielowi mężnie się stawił, rejterując się ku fortecy. Wtém dragonia z piechotą z woli Puławskiego na sukurs mu przyspieszyła, za której zbliżaniem się ku fortecy szczęśliwie powrócił, a nieprzyjaciel w tym razie znacznie od ręcznéj strzelby porzucony, bo armata w zamięszaniu sekundować nie mogła. W téj okazyi z piechoty konfederackiéj 6. zabitych, a 4. ranionych zostało, lubo, jak się już wyżéj nadmieniło, nie pomieszaniem, ale większą klęską nieprzyjaciel w tak znacznéj kwocie do ucieczki przymuszony został.

Wnocy po wydanym czapstrzychu z obu stron, przy odgłosie armatnim do godz. 9., bomby, kule ogniste z dział nieprzyjacielskich rzucano, żadnéj jednak szkody w fortecy nie czyniły, i próżną ich nadzieją łudziły; a tak w nocy podsuwanie się ku fortecy i czołganie po ziemi ku palisadom żołnierzy nieprzyjacielskich, do pilnéj straży pobudzało Konfederatów, którzy z ręcznéj strzelby postrzałami skradających się odganiali.

Dnia 8. Stycznia. Z rana po wydanym na pobudkę z armat ogniu, widać było zewsząd pędzenie chłopstwa z worami i faszynami za mury Ś. Barbary zbierającego się: nieprzyjacielska milczała armata. Z fortecy zaś Jasnogóry wysłano ściągające się szwadrony, po wioskach bliższych przed tém rozstawione, nie bez straty nieprzyjaciela.

Z bastyonów też do szyldwachów już w ręku konie dla przykrego źimna wiodących, i do piechoty w szańcach przechodzącéj się z haubownic i jańczarek strzelano, znacznie rażąc nieprzyjaciela, co o godzinie 12. ustało. O godzinie zaś 1. z południa przyjechało kilkadziesiąt koni do chałup, ku kościołowi Ś. Jakuba stojących. Konie, płaszcze, spisy wstawiwszy do stodoły, sami weszli do budynków, mając jednego na straży; o czém gdy się dowiedział Puławski, 40 piechoty i kilkanaście konnych komenderował do tych chałup. Nie tylko tedy konni, ale i piechota tak nagle z fortecy wypadła, że Kozacy ostrzeżeni od kompana, na straży będącego, ledwo co wbiegli byli do stodoły, tak gęstym byli okryci strzelaniem konfederackiém, iż jedni dosiadłszy koni, w sam ogień lecieć musieli, drudzy płaszczów i spis odbiegli, inni konie porzuciwszy, pieszo uciekali. W tém strzelaniu zajęła się stodoła, i już z ognia kilka płaszczów i spis piechota konfederacka wyrwała. Koni zaś poranionych kilka, w téj stodole 12 Kozaków zabito, a we dwój tyle plezerowanych. Ranni nie ochybnieby się byli dostali w ręce konfederackie, żeby ich sukurs karabinierów i piechoty z kościoła Ś. Jakuba w tym punkcie nie wspomógł, a gdy Konfederaci przeciw sukursowi nieprzyjacielskiemu mężnie się stawili, zrobił się nagły alarm, w którym dwa szwadrony okrom karabinierów z Staréj Częstochowy w punkcie przybiegły, i chociaż w porządnéj rejteradzie mogły żołnierzowi konfederackiemu uczynić szkodę, gdy armata z fortecy kartaczami jak nazębionym sierpem ścinając z koni, do nagłéj w konfuzyi nieprzyjaciela utarczki przymusiła. Przyskoczył téż i na głos w prędce ochotnik z fortecy, pokrył téż nieprzyjaciel szeroko plac od Staréj Częstochowy, już nie w szwadronach obawiając się armatnéj kuli, ale rozsypany po polu, nie bez znacznéj jednak szkody zszedł z placu nieprzyjaciel, to z ręcznéj strzelby postrzałami, to kartaczami nadzwyczaj raniony, trupów jednak chwytano i do armii odwożono. W tém potykaniu te dwa domy zapalili Konfederaci, którzy z niewymowném męztwem prześladowali nieprzyjaciela. Nawet chłopcy o troje staj pieszo biegali od fortecy, z krótkich karabinków strzelali do Kozaków i karabinierów nieprzyjacielskich. Officer Dyssydent tak okrutnie był postrzelony z jańczarki, że kula przez nogę nie daleko kłęba i konia na wylot przestrzeliwszy, w drugiéj się nodze oparła. Tak był mocny ten officer, że z tym postrzałem do Staréj Częstochowy zajechał; tam z konia zdjęty i do stancyi w konwencie księży Paulinów zaniesiony, umarł. Tandem po znacznéj klęsce nieprzyjaciela, gdy się Konfederaci do fortecy popowracali, z nieprzyjacielskiéj armaty kulą i kartaczami dano ognia; kula w stagmant tak uderzyła, że rogatki w niém połamała; a kartacze nad kilkadziesiąt koni jazdy przeleciawszy, tylko pod ułanem konia zabiły, i u ręki prawéj palce dwa, lecz nie szkodliwie raniły, i na tém tylko szkodował w téj utarczce żołnierz konfederacki, gdy nieprzyjaciel tysiącami więcéj odebrał szkody, i tym sposobem już późną porą dzień zakończony. Noc po wydanym ogniu na bastyonach zaszła. — Do nieustannéj pilności mocno z szyldwachów każdego przymuszano.

Dnia 9. Stycznia. Zaraz równo ze dniem ruszyły się szwadrony karabinierów, jedne ku Kłobucku, drugie ku Olsztynowi, a trzecie ku Msłowu, z daleka obchodząc fortecę, aby im kule armatnie nieszkodziły, z którymi szły furaże. Assystowały im też i kule armatnie z fortecy, ale dla lekkości nie tak im zwykły szkodliwe bywać. Szyldwachy pomniejszone, i już nieprzyjaciel zdawał się od fortecy odstępować. Przejrzał w tém Puławski, iż w tém nieprzyjacielska zamyka się zdrada. Dla czego już całodziennie około dyspozycyi w zbrojeniu w ammunicyą żołnierza swego, i na porządzeniu armat po bastyonach, zatrudniał się. Pikiety wzmacniać zawsze, szyldwachy pomnażać kazał komendantom, pilność i ostrożność po bastyonach zalecał. Ten dzień cały spokojnie przebył. Noc z wieczora aż do godziny 2. cicha, ognie w nieprzyjacielskim obozie przygaszone zostały. Po drugiéj zaś godzinie, mając nocą ściągnionych ludzi, dniem wyszłe szwadrony, zasadziwszy téjże nocy ciemnéj pomiędzy Częstochową, opa-

sano tłumem pomniejsze szańce, trzecim zabrawszy fossę, w pół do trzeciéj jednak zjazdą pośpieszywszy, bombę na fortece rzucić kazał, za któréj pokazaniem się, ze trzech stron zasadzone w Częstochowie wojska z kupą chłopstwa na trzech szańcach do wycięcia palów z siekierami i z ręczną strzelbą do spędzenia Konfederatów z bastyonu, rzucili się największym tłumem. — Z faszynami i drabinami bardzo śpiesznie do bastyonów Ś. Barbary niezmierna moc ku palom przystępowała nieprzyjaciół, których jeden koniec u szańców swoich, a drugi ku palom pod fortecę zbliżył się, których dla odwagi popojono. Dawano ognia z tego bastyonu z armat kartaczami tak rzęsisto, że po z zabijanych przez nieprzyjaciół trupów po polach, krew jakoby strumieniem w brózdach płynęła. Ale gdy trup mostem prawie kładziony leżał, popojony nieprzyjaciel nie mógł utrzymać zbuntowanego ludu. Wypadli na pole, napełnili fosę. Przystawili drabiny, i już po nich weszli, co, gdy się tu u Ś. Barbary dzieje, z inszych bastyonów wolno następujących pomniejszą śiłą okupionych kładą trupem szturmującą Moskwę. Wtém J. W. Puławski widząc pełną fossę nieprzyjaciela przy bastyonie Ś. Barbary, kłody na to przygotowane, do fos spuszczać kazał: piechota i dragonia z ręcznéj strzelby strzelając Kozaków i innych ludzi, to postrzałami, to spuszczonemi kamieniami, umyślnie na bastyony zwiezionemi, niezmiernie zabijali. Potém rzucono do fos wieńce, które całą fosę oświeciły, spuszczono feierbandy, szturmacki granat, i tym sposobem uciekającego od murów zabijano i kaleczono nieprzyjaciela. Resztę nieprzyjaciół, za palami we dwoje po większéj części będącą, z ręcznéj strzelby i armat postrzałami zabijano i rażono. Doszła jednak Moskwa trupów i rannych swoich ile mogła chwytała, nawet z fos, gdy sposobność pozwoliła, i ku swoim wywłoczyła, co gdy się w godzinę stało, nie tak szturm jak niesłychany ogień z fortecy trwał więcéj jak 5. godzin. Faszyny pod palami i w fosie, drabiny pod murami nieprzyjaciel przymuszony, zostawić musiał. Nieprzyjaciół podczas tego szturmu przeszło 500 osób zginęło, i więcéj nad to zostało rannych. Przydaje się dla lepszéj informacyi, że przyciągnęło pod Częstochowę piechoty około 2000, Kozaków nie ledwo drugie tyle, karabinierów 1000, i pruskich wolontaryuszów część znaczna. Ci wszyscy spieszno do szturmu należeli. Miał też z sobą Drewicz, kommendant nieprzyjacielski, z Prus mozdzierzy i amunicyi za summę niemałą sprowadzone. Jak się pokazało przez upominającego się o tę summę od Drewicza officera pruskiego. Miała komenda nadzieje, że skarbami Jasnéjgóry uczyni téj summy uspokojenie, ale gdy w tém nieprzyjaciel został omylony, zapłacenie upominającego się officera na czas inny odłożył, na co się u pewnego obywatela pod Częstochową tenże officer pruski żalił.

Gdy się zaś nieprzyjaciel cofnął, przededniem ustało z fortecy strzelanie, ale jak niezmierny głos przeraźił uszy, w cichéj nocy dokładnie słyszany, który wydawał nieprzyjaciel, żałując pogubionych ludzi, a gdy dobrze dnieć poczęło, wyszedł żołnierz konfederacki za bramę, i znalazł dosyć flint, patrontaszów i innych zdobyczy, szabel piechockich i pałaszów odbieżanych, miał i trupa obdartego: między wielością jednak trupów w fosie i pod nad fosą leżących, przy palach i po zaporach niezebranych. Zaś żywo wzięty jest kapitan Morsztyn i kapitan nieprzyjacielski, w nogę zgruchotaniem onéj raniony, i zinnemi 6 wojska nieprzyjacielskiego żołnierzami. Z strony zaś konfederackiéj żaden człowiek i najlekszego ranienia nieodebrał, i tym darem pomocy Boskiéj szturm zakończony.

Dnia 10. Stycznia uciszył się nieprzyjaciel, jakoby go niebyło pod fortecą Jasnéjgóry. W fortecy zaś po godzinie 8., gdy zniesione były drabiny murowe, żerdzie okowane, widły na drągach żelaznych po wyprowadzeniu nieprzyjaciela ranionego i schwytanego, tudzież za powrotem żołnierza wykommenderowanego, zaczęła się solenna wotywa i processya. Śpiewano Te Deum laudamus, podczas którego dawano ognia z armat murowych, i po skończoném nabożeństwie przystąpił do czynienia nowéj dyspozycyi J.W. Puławski po bastyonach, tak, jako pierwszą razą czyniąc dyspozycye. Tymczasem wojsko nieprzyjacielskie w miejscach swoich już było okryte, Kozaków tylko z fortecy widziano, jeno kilka koni po poblizkich rozbiegło się wioskach, którzy w krótkim czasie spędziwszy chłopów i podwody, na wozy trupy ładowano, doły długie i szerokie, jedne na cmentarzu Ś. Rocha, drugie pod figurą blisko tegoż kościoła stojącą kopano, i w nich znaczniejsze osoby grzebano. Gimejny w rzece Warcie topiono, innych w różne doły rzucano.

Tegoż dnia, gdy się na bastyony wiele ludzi dla wnoszenia kamieni, ciągnięcia kłód na kosze, i przetoczenie armat zeszło, widząc nieprzyjaciel ich, wypuścił granat, ale ten górą za mury przeleciał, bez uczynienia szkody.

(Koniec nastąpi.)

Helena.

(Powieść.)

„I pusto, smutno, tęschno, jak gdy szczęście minie,
I pusto, smutno, tęschno w bujnéj Ukrainie“

Marya Malcz.

I.

Nie tak dawne temu czasy, i sto jeszcze lat niema, a na kilka mil za Wieluniem, starém

miastem, którego zamek ów wielki król chłopków wybudował, szerokie, ciemne, odwieczne czerniały lasy. Wązka dróżyna z góry na górę skacząc, na białém wapieniu majaczała w oddali, ginąc w pośród gęstwy starością obmeszałych świerków.

O, straszno było tam wejrzeć, a jeszcze straszniéj samemu przejść w nocy. Bo chodziły wieści, że i strachów nocnych w boru nie mało, i we dnie często śmiałki wędrowce, co samopas idąc, niesłuchali i niewierzyli starych ludzi powieściom, ginęli bez śladu.

Na środku strasznego boru, w miejscu trochę wolniejszém, nad czarnéj Dziczwarty nurtem, stary zasiadł młyn. Podeszły Mateusz młynarz, na kilka mil w około znany był z poczciwości, a choć dostatków miał mnogo i córę krasawicę, najpowabniejszą na cały powiat dziewczynę, przecież starego młyna, co dziada i ojca żywił, i jego był sprawcą zamożności, opuścić niechciał. Tam się urodził, tam z ukochaną ożenił Marysią, z nią się dochował syna Jana, sporego już parobka, i nadobnéj córy Heleny, a oprócz nich pastuch i młynarczyk, wychowaniec Mateusza, kilku od Jana starszy latami, a nareszcie silny kondel, wierny stróż domu, całą młyna stanowiły osadę. Młoda Helena, szesnastą dopiero kończyła wiosnę, a już liczni dziewosłębowie „z chlebem i solą i dobrą wolą“ do młyna się garnęli, lecz zawsze zbyci odpowiedzią, że jeszcze zbyt młoda, zapomnieli, zdało się, o swém rzemiośle, bo już dawno żaden się niebył zjawił. Rozmaicie o tym starych uporze ludzie mówili; jedni, że młynarz chce bogatszego jak ci, co się dotychczas zgłaszali byli, zięcia; inni, że młynareczka może jakiemu panu wpadła w oko; inni inaczéj, zwykle jak łatwowierni ludzie wiejscy, a żaden prawdy nieodgadł, bo tylko stary Mateusz wiedział, co i czemu tak czynił, ale on milczał i na żadne ciekawych nieodpowiadał pytania.

2.

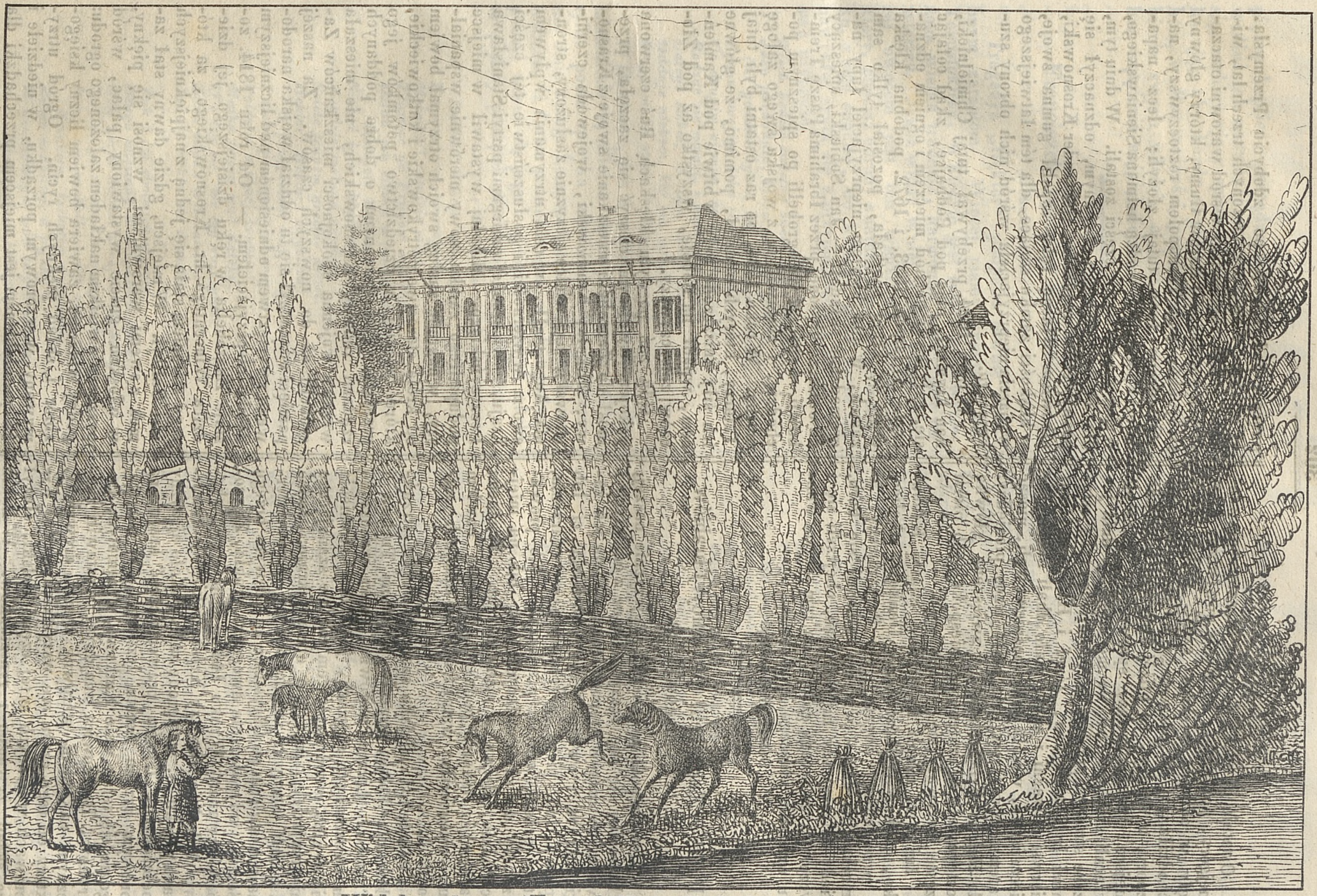
Słońce jaskrawe już po za wysmukłych świerków wierzchołki kryć się zamyślało, wietrzyk, filut niestały, to podmuchnął dziewicę wodę na stawie, a ona niby z gniewu gładkie marszczyła czoło, to w lot wypogodzoną znów całował i głaskał kochanki twarzyczkę; siostra jéj, trzcina, nad brzegiem usiadłszy, tajemnicze szemrała plotki, a stary młyn gderacz, niby ojciec marudny, bez ustanku terkocąc, swawolnie łajał dzień, a w młynie krzątaniny mnogo, bo jutro jarmark w Częstochowie, wraz z odpustem do Najświętszéj cudownéj Panny, a ten młynarz nie łatwo opuszczał. Lecz jutro go opuści, bo złożony chorobą powstać nie może. Ale syna wyprawia wraz z Józefem wychowańcem; i młoda Helena, nie mało wprzód się nabłagawszy, na jutrzejszy gotuje się jarmark. A wtém czujny zaszczekał kondel i przed młynem mały dwukonny stanął wózek, na którym jeden tylko młody człowiek, sam się powożąc, siedział.

Byłto Marcin, z daleka, znajomy młynarza, i dla tego nie bawiąc się długo, założył koniom siana, a sam szedł do izby. Niepochwalił on Boga, nieprzeżegnał się święconą wodą, co w cynowém naczyniu, po prawéj drzwi stronie przybitém, na pierwsze wchodzących czekała przywitanie, tylko suchem: „Dobry wieczór, jak się państwo macie?“ zgromadzoną przywitał rodzinę.

„Bóg zapłać, dosyć dobrze,“ odpowie Marya. „Helusiu, daj krzesełka; ale trzeba krzyża w kominie, boć to z pana Marcina rzadki gość.“

„Ha, zatrudnienia nie pozwalają, i teraz tylko w interesie przyjechałem, prosząc o zmełcie kilku wierteli żyta, które z sobą przywiózłem,“ odrzekł Marcin, a potém do chorego się przysiadł; a ubolewając nad jego dolą i pocieszając go nadzieją poprawy, raz po raz ognistém spojrzeniem na opodal siedzącą i matce żywoty świętych głośno czytającą (bo Helena, nie żarty, przez dwa lata z Janem i Józefem u księży Paulinów w Częstochowie się uczyła) strzelał Helenę. — Pan Marcin byłto człowiek lat może około trzydziestu mający, rosły, dorodny, oko miał ogniste, ale w jego spojrzeniu czyhała jakaś dzikość i zdrada, a duży wystający nos i zakończona nieco broda, razem z twardym kędzierzawym włosem, co dziko rozpuszczony wysokie ocieniał czoło i na szerokie spadał ramiona, twarzy jego niejakie do izraelskiego ludu rysów nadawały podobieństwo. I szeptali téż ludzie między sobą, jakby on był Żydem, jakby z djabłem trzymał, ale z resztą nikt go dobrze nie znał, widziano go tylko czasami na targach i jamarkach w Częstochowie i Wieluniu, a jeszcze częściéj na tym samym wózku, na którym teraz był przyjechał, samego, bez trwogi, osławione przejeżdżającego knieje. I młynarz tylko o tyle go znał, że nieraz już do jego zajeżdżał mieszkania, a choć jawnie tego nieokazywał, z postępowania jego, na pozór obojętnego, widać jednak było, że nadobna Helena wcale w oko mu wpadła, a ona, może mu była wzajemną, może nie, któż to wie? on jéj się jeszcze, ani rodzicom nie oświadczył, a ona téż przed nikim nic nie mówiła. Tylko kiedy był wszedł do izby, a miłe i ciekawe jéj oczko jego ogniste spotkało wejrzenia, spuściła małą główkę, a piękna twarzyczka jasną pokraśniała czerwienią.

Tymczasem noc nadchodziła, a gościnny młynarz jął zapraszać przybysza na noc, ale ten na żaden sposób zaprosin przyjąć nie chciał, i ledwo go nadobnéj Heleny prośba na wieczerzy zatrzymała, po której natychmiast wyjechał, mimo gróźb i napominań przed niebezpieczeństwem, obiecując ładnéj dziewicy jutro w Częstochowie z nią się zobaczyć.



Widok pałacu w Zagrobelli (w Galicyi) hr. Krosnowskich.

3.

Ostatnie dźwięki dzwonu klasztornego z Jasnéjgóry, pojękując, drzały w powietrzu, i ginęły w oddali; większa część pielgrzymów schodziła się do obszernego kościoła na nieszpory, a drudzy, co bliżéj świętego mieszkali miejsca, pokończywszy sprawunki, spiesznie wracali do domu, by, ile możności, za dnia jeszcze straszne przebyć bory. Między tymi ostatnimi byli także Jan, Józef i Helena. Dwaj pierwsi odważni i silni, mało dbali na niebezpieczeństwo, wesoło sobie pośpiewywali, niosąc staremu młynarzowi nie mały trzos pieniędzy; ale Helena była smutna, z zwieszoną główką postępowała za bratem, a z niespokojnych piersi częste wyrywały się westchnienia.

Już byli minęli żydowskie miasto Kłobucko, piękne Wilkawiecka i Dankowa okolice, a przeszedłszy bogate sioło Parzymiechy, o zmroku już do osławionego zbliżali się boru, kiedy usłyszawszy turkot wozu, obejrzeli się i wczorajszego swego gościa, na tym samym wózku śpiesznie jadącego spostrzegli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pałac w Zagrobelli (w Galicyi) hrabiów Krosnowskich.

Niemasz podobno miejsca w ojczyznie naszéj, z któremby się nie łączyły liczne z odległych i świetnych czasów wspomnienia. Wiele ich zaginęło; tu i owdzie tylko opowiada ci lub śpiewa lud pieśń przypominającą zdarzenia, które przodkowie im przekazali; lub prowadzi cię do ruin walących się, lub na miejsce jakie, dziwy o nich głosząc. Ważnemi zawsze są takowe podania, niejedną bowiem już wyświeciły wątpliwość w dziejach narodu.

Podole było niejako szańcem naddniestrzańskim dla Polski przeciw napadom Turków i Tatarów. Liczne warowne zamki wznoszono tu wrozmaitych stronach, jużto dla schronienia się w nich przed napływem nic nie szanującego nieprzyjaciela, jużto dla obrony kraju. Jedna z takich warowni znajdowała się już w czternastém stuleciu po Chrystusie na prawym brzegu Seretu, od położenia swego za groblą, *Zagrobello* zwana. W roku 1446. dostali potomkowie Mikołaja Junoszy Krosnowskiego, kasztelana płockiego, w nagrodę zasług około ojczyzny położonych, lennėm prawem część kraju, na prawym brzegu Seretu leżącego. W miejscu, gdzie się teraz wśie Kutkowo, Przaniatyn, Petryków, Berezowica znajdują, wystawili znacznym nakładem warowny zamek drewniany, który od tego czasu we wszystkich niemal wyprawach wojennych w téj części Polski, służył za skład żywności i rynsztunków. W latach 1502., 1524., 1575. opierał on się Tatarom, ciągnącym pod Lwów po zdobyciu Przemyśla. W ostatnim roku z przytoczonych trzech lat, widział zamek zagrobelski wśród warowni otaczających go, liczne Tatarów tłumy, którzy główny swój obóz pod Tarnopolem roztoczywszy, nagromadzone łupy tutaj złożyli; lecz napadnięci i pobici pod wodzą hetmana Sieniawskiego, wyparci z téj kraju części zostali. W dniu tym, dla oręża polskiego świetnym, odznaczył się poświęceniem rzadkiém Aleksander Krosnowski, albowiem własną ręką zapalił gumna swoje, w bliskości zamku stojące, dla tém łatwiejszego wyparcia nieprzyjaciela wśród nich obrony szukającego.

W roku 1624. przebywał tutaj Chmielnicki, han krymski, idąc pod Podhajce, zkąd cofając się, cały swój pochód mieczem i ogniem odznaczył. W latach 1633. i 1672. podobna klęska część tę kraju spotkała, pozostał tylko sam zamek, w nim bowiem nieprzyjaciel łupy nagromadzone składał. — Jan Sobieski, spieszący na odsiecz oblężonéj przez Ibrahima Paszę Trembowli, wypoczął w Zagrobelli po spiesznym pochodzie, i zostawił tu z wojska swego załogę mocną. W roku 1694. po raz ostatni byli tutaj Tatarzy, których oddział, pomimo, że główne ich siły zniszczone były w bitwie pod Kamieńcem, wpadł na Podole, wszystko aż pod Złoczów zniszczywszy.

Gdy zaś po tylu klęskach Ruś czerwona pokojem trwalszym cieszyć się zaczęła, przeniósł do Zagrobelli mieszkanie swoje z Krasnowy, Mikołaj Krasnowski, wojewoda czernichowski, mąż wielce ojczyznie zasłużony, stronnik Augusta II., w celu utrzymania wpływem swoim w wierności i posłuszeństwie téj części kraju, zawichrzonéj zabiegami partyi Stanisława Leszczyńskiego. Mikołaj wystawił w miejsce podupadłego zamku nowy nierównie wspanialszy, w nagrodę zasług swoich otrzymał bowiem od króla starostwo petrykowskie i kutkowieckie, które póżniéj w dziedzictwo potomków jego przeszły. Pod starannymi o dobro poddanych rządami rodziny Krosnowskich, nie mieszała wrzawa wojenna spokojności mieszkańców Zagrobelli aż do nowszych czasów. Za naszéj pamięci odznaczył się tu oddział wojska narodowego zwycięztwem odniesionėm nad liczniejszym daleko nieprzyjacielem. — Od roku 1814. zostaje Zagrobella w ręku dzisiejszego jéj dziedzica Wincentego hr. Krosnowskiego, za którego staraniem stała się jedną z najpiękniejszych wśi Galicyi. W miejscu, gdzie dawny stał zamek z swemi warowniami, wznosi się piękny, w włoskim guście wystawiony pałac, wśród pysznego z wielkim nakładem założonego ogrodu: godny widzenia, zawiera bowiem liczny księgozbiór i skład pięknych rycin. Ogród utrzymywany w wzorowym porządku, w niedziele i święta ulubionėm jest miejscem przechadzki dla mieszkańców Tarnopola. Budynki gospodarcze,

piękna kaplica, porządne mieszkania włościan, wzdłuż tak nazwanéj drogi cesarskiéj ciągnące się, zachwycający sprawują widok, i życzyć nakazują, aby każdy obywatel podobnym sposobem, według możności, przykładał się do ozdobienia swych włości, a kraj nasz stałby się bez wątpienia najpiękniejszą częścią ziemi.

Franciszek Dyonizy Kniaźnin.

(Dokończenie.)

Tragedya „Hektor" podpada równie podobnym zarzutom. Więcéj mamy sympatyi dla Temistoklesa, w którym jest często przezwyciężona wielka trudność, harmonija w nierymowym wierszu. Jakoż widać w niéj wielką pracę, któréj owocem jest ten wierszowy mechanizm, który, chociaż obrany z naturalnego swego wdzięku, z tego spadku, do którego ucho nasze tak nawykło, czyta się z przyjemnością i zachowuje swą płynność.

Niech będzie świetny życia mego koniec,
Jako pochodnia, która świecąc gaśnie.
Nie godzien życia, kto przeżyje chwałę,
Zgonu swojego lęka się ów podły,
Co drugim ciemny, co nieznany sobie,
Rodząc się umarł, i niesie do grobu
Całego siebie. Śmiało swego ducha
Oddaje niebom, kto bez wstydu może
Przypomnieć sobie umierając życie!

W Hektorze, jak i w Matce Spartance i Temistoklesie są śliczne śpiewy liryczne. Gdzie tylko poeta spotyka właściwe sobie położenie, tak umie z niego korzystać, tak go żywémi ubiera farbami, iż łatwo poznać można, w jakim rodzaju poezyi talent się jego najjaśniéj rozwijał. Jaki to piękny początek pierwszéj sceny Hektora:

Chór Greków.

Hektor! Hektor! zwycięża!
Krwawożerca ten zajadły!
Mężowie! ratujcie męża,
Tłuszcze go Frygów opadły!
Dzida mu ciężka w ramię utkwiona,
Ratujcie Machaona!
Śmierć igra z błyskiem oręża,
A gdzie szalona przeleci,
Ściele trupem greckie dzieci.
Hektor! Hektor! zwycięża!
O przyjacielu mój drogi!
I ciebie przeszył grot srogi,
Poległeś w obcéj krainie!
Matka twoja ztąd daleka,
We łzy się, we łzy rozpłynie,
Żona młoda w Salaminie
Już się ciebie nie doczeka!
. . . .
Tak i ów strumień wysoki,
Długo więziony w skrzyniach opoki,
Gdy górne deszcze zdrojem wezbrały,
Nagląc go zewsząd rosnącym tłumem;
Runie z wierzchołka przez urwę skały
Z hukiem, łoskotem i szumem;
Runie w doliny, a pijany
W gwałtownym wód swych uronie,
I kłębne pędząc bałwany
Rwącym ryczałtem pochłonie
Groble, brzegi, lasy, grody,
Zboża i trzody.

Śliczne są te operetki, te dramatyczne sielanki, pisane z takim wdziękiem, z taką raźną wesołością, z taką prawdą obrazów. Wszystkie dają się czytać z szczególną przyjemnością, tak je odznaczają właściwy im ton lekki, ochoczy, śpiewki pełne sielskiéj prostoty i ujęcia. Zdaje się, że jestem w gronie tych szczęśliwych włościan, że używam w pełni tych naturalnych, nieskrzywionych roskoszy czucia, iż oddycham całémi piersiami tę lubość natury, okraszoną uśmiechem wiosny, oświeconą słońcem, ubraną taką rozmaitością drzew, pełną światła, cienia, ochłody. Trzeba było mieć serce mocno czujące, nietknięte fałszem i obłudą, trzeba było mieć szlachetne uczucia, czystą wiarę, żeby się tak przejąć tą dziewiczą pięknością natury, żeby tak oddać te obrazy proste, a tak piękne, z taką prawdą i z takiem uczuciem piękności.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Śpiewać ciebie kto wydoła?
Kto użytków, kto twéj pracy
Czuje roskosz, my wieśniacy.
My z naszego pijąc Sanu,
Wierni tobie, wierni Panu,
Znamy tylko ten brzeg mały,
Gdzie nas matki kołysały!
Dziękujemy Bogu za to!
Nasza wiosna, nasze lato,
Nasza jesień ubarwiona
Sypie kłosy, roni grona.
Nam się księżyc w nocy śmieje,
Nam poranek rosy leje,
Nam się tylko ziemia godzi,
Wschodzi słońce i zachodzi.
Szumią dęby, kwitnie łąka,
Pagórkami cień się błąka;
Niech się wielki świat przewraca,
Znami pokój, miłość, praca.

Pieśni te już są zupełnie obce dla teraźniejszéj literatury naszéj. Kniaźnin, a po nim Karpiński, ze wszystkich poetów minionego wieku sami posiadali tajemnicę ich utworu. Oba skromni, dalecy od zgiełku świata, czystych, nie sfałszowanych uczuć, pędzili dni swoje wśród tych prostych zabaw, które tak ładnie opisali, wśród natury, któréj byli wielbicielami. Rozumieli jéj mistyczny język, pojęli jéj śpiew, wśród długich wspólnych tajemnych rozmów. Ale pojmowali to wszystko sposobem prostym, jak ich serce, z naiwnością dzieci, z roskoszą kochanków, dla tego też oba tyle mają wdzięku, tyle prawdy w uczuciach i stylu. Kniaźnin nadto zajęty silną namiętnością, łatwiéj przyjmował wszystkie te wrażenia, dłużéj one gościły u niego z całym swym orszakiem nadziei lub strapienia. Te to przemienne uczucia kształciły rzeczywiście jego usposobienie liryczne, oneto ciągle wyrywając sobie umysłowe życie poety, ubierały w kolory odpowiedne swoim własnościom, codzienne myśli i czucia Kniaźnina. Szczególniejsze i szczęśliwe usposobienie dla człowieka bogatego, zapasem wiadomości nabytych z miłością,

jak ten naturalny dany im kierunek, jak to niewyczerpane źródło wrażeń, którego dnem było serce poety. Pod tym względem prawdziwie artystowskim, wszystkie poezye Kniaźnina dają się najłatwiéj zrozumieć; tak cel ich jest jawny, tak, pomimo chęci ukrycia, pokazuje się rzeczywistość często straszna, smutkiem jak zasłoną żalu pokryta, ledwo gdzieś jaśniejącym promykiem nadziei odziana, ale tak słabym, tak ziemskim, jak te złote korony świętych na dziecinnym obrazku.

Jednakże życie to musiało być pełném. Mieć zawsze dwa przedmioty, które całą ogarniają duszę, ubierać je według usposobienia, to w jasne kolory szczęścia, to w ciemne farby przeciwności; oprócz tego mieć serce tkliwe, drażliwe na każde zewnętrzne wrażenie, odbijające w sobie każde echo, każde wstrząśnienie umysłowego życia, umieć czuć piękności natury, ubierać je w formy gustowne i kształtne, jeżeli kiedy, takie własności musiały utworzyć prawdziwego poetę. Własności te szczerze moralne, musiały rozwijać się z ujmą szczęścia i spokojności, do jakiéj człowiek wzdychać może, ale działając bezprzestannie, wpływ ich nie mógł być inny, jak tylko najwłaściwszy powołaniu poety. Smutny zapewne był koniec tego zajętego życia, ale też trudno nie przypuścić, aby w téj ciągłéj walce nie błysły czasem chwile spokojnego szczęścia, wewnętrznéj ciszy, które tak rzeźwiły serce jego, jak spragnioną ziemię po skwarnym dniu i błyskawicy rzeźwi ciepły i wonny deszczyk majowy. Jak wtenczas rozrzewniony czuciem Kniaźnin musiał oddychać z lubością tém powietrzem, przepełnioném nadzieją i szczęściem! Chwila ta musiała mu hojnie nagradzać przeszłe strapienia, bezsenne nocy, dni pochmurne życia, bez zachodu i wschodu!

Tak sobie wystawiamy Kniaźnina podług wrażeń, które w pismach jego napotkać nam się zdarzyło. To, co zostaje, oprócz Od Horacyusza, w młodym bardzo wieku tłumaczonych, jest już odpoczynkiem, pochyłością, która go wiodła do smutnego rozwiązania jego dramatycznego życia. Pienia Ossyana i pieśni sielskie, szczelnie przypadły do jego tęsknego położenia; nadzieja już odbiegła jego serce, już walki nie było, rezygnacyjna posępność opanowała zupełnie jego umysłowe władze. Czuł mocno i musiał szczérze uwielbiać te pieśni bardów Kaledonii, jakoż w nich zostawił niezatarte ślady swojego talentu. Pomimo tego, iż w niektórych miejscach wiersz ten nierymowy ujmuje im wiele wdzięku i życia, jakaż jednakowo różnica między tłumaczeniem jego a tłumaczeniem biskupa warmińskiego! Jestto ostatnia praca jego, któréj nawet nie dokończył, zerwawszy ostatnie ogniwo umysłowego życia. Tu można razem z poetą powiedzieć:

Często uczucie spali, czego myśl nie złamie.

Pośmiertne ody ustalają jego liryczny talent. Pomiędzy poetami naszymi ubiegłego wieku, Kniaźnin, jako liryczny poeta, chlubne zajął miejsce w literaturze naszéj. Nikt go nie przeszedł w czystości języka, w tkliwych uczuciach, z życiem i ciągłym wdziękiem oddanych. W ciągu tych kilku uwag staraliśmy się okazać postęp i wzrost jego talentu, który zawsze jaśnieć będzie z chwałą w literaturze naszéj.

W pośmiertnych tych odach widać już posępną i spokojną rozpacz, któréj się oddał. Były to jak wschody, po których wstępował do jedenastoletniego umysłowego więzienia. Wszędzie zostawił dotykalną tę boleść swoję bez nadziei, i to serce Klimeny jak opoka. Ale posłuchajmy jego własnych wyrazów:

Ale jakoweż czasy niezbyte
W oczach Klimeny słodko wyryte,
Tak silną i tak przyjemną
Dały jéj władzę nademną?
Wśród wszech nadziei, które mi stają,
Jéj tylko szukam, dla niéj łyskają,
Co tylko chwytam, co snuję,
Ją w każdéj myśli znajduję.
Próżny na łące kwiatów dostatek,
Nie świeżym dla niéj zrąk moich kwiatek,
Próżny usiłek i wrymie
Odjęło słodycz me imie.
Gdzie oczy zwrócę i moje żale,
Ją wyobrażam na każdéj skale,
Jak zorza ogień zjéj oka,
A serce jak ta opoka!

Przykre musiał Kniaźnin rzucać wejrzenie na tę przeszłość, która mu tak czarne zostawiła wspomnienie, kiedy je tak posępnie maluje:

Jak samotny na ugorze,
Co jeno wiatrem oddycha,
W cichéj kwiat polny pokorze
Skłania się, więdnie, usycha,
Upłynęłyście dni moje!..

Odtąd płynęły dni jego, ale ich mruczenia już nie słyszał poeta, nieczuły na wszystko, co go otaczało. Błądził samotny wśród tych miejsc drogich dla niego pamiątką, która go odleciała, jak widziadła snu, trwożne, mamiące, ale niepowrotne!... My zaś, co już dla niego jesteśmy potomnością, zamieńmy w rzeczywistość to, co z tak skromną wątpliwością powiedział:

Jeśli nadzieją mam pochlebiać sobie,
Rzuci potomność kwiat na moim grobie.

Konstanty Podwysocki.

Nr. 20. Przewodnika rólniczo-przemysłowego zawiera następujące artykuły: Wydział przemysłowy w Gostyniu. — Kilka uwag nad artykułem: „O stanie chłopów w wielkiém księstwie poznańskiém,“ umieszczonym w Tygodniku literackim. — Opisanie gospodarstwa w Anglii, które premię otrzymało. — O zmianie płodów, ziarna i saméj ziemi. — Sposób przechowania i polepszenia wycisków z buraków. — Nowy wynalazek przy fabrykacyi cukru z buraków. — O nowéj machinie do sieczki. — Sposób pozbycia się kretów i myszy.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)